

Maria Polańska

# **Kolonie i obozy**

---

czyli skrywana prawda





Maria Polańska

# **Kolonie i obozy**

---

czyli skrywana prawda



Kolonie i obozy, czyli skrywana prawda

wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-66915-43-5

© Maria Polańska i Wydawnictwo AgraFka 2022

REDAKCJA I KOREKTA

Sylwia Lewandowska

SKŁAD I ŁAMANIE

Studio Grafpa, [www.grafpa.pl](http://www.grafpa.pl)

OKŁADKA

Krzysztof Fabrowski

DRUK I OPRAWA

Print Group

WYDAWCA

Wydawnictwo AgraFka

ul. Macierzankowa 15, 64-514 Przeclaw

[www.wydawnictwoagrafka.pl](http://www.wydawnictwoagrafka.pl)

Dla Zysi. Dziękuję, że jesteś.

## Krótką historia kolonii

**O**d kiedy istnieją kolonie? – Pewnie od zawsze – odpowiedziałaby niejedna zapytana osoba. Naprawdę istnieją od 1882 roku.

Z pierwszego wyjazdu skorzystało pięćdziesięcioro dzieci warszawskiej biedoty, które zostały wysłane na wieś, jak pisano po „słońce i zdrowie” przez Towarzystwo Kolonii Letnich doktora Stanisława Markiewicza. To dzisiaj tyle, ile liczy jedna mała kolonia. Za pośrednictwem ówczesnego „Kuriera” zamieszczano apele skierowane do ziemian, aby podarowali na okres od czterech do sześciu tygodni miejsca dla trzydziestki dzieci. Zawsze znajdowali się chętni. Właściciele majątków nie tylko zapewniali wygodne pokoje, ale i zaopatrywali placówki w świeżą żywność, jak podają źródła „w obfitych ilościach”. Ci bardziej hojni darowali nawet odzież. Organizatorzy poczuli się do obowiązku zagospodarowania kolonistom wolnego czasu. Urządzali przeróżne zabawy, przejażdżki bryczkami, końmi, no i najbardziej przez dzieci oczekiwaną kąpiel w rzece. Nic dziwnego, że liczba chętnych na taki wyjazd, w dużym tempie wzrastała. W 1890 roku skorzystało z niego już pięćset czterdzieści dzieciaków. Niestety, zawsze było więcej chętnych niż miejsc. Wiarygodne źródła podają, że w 1903 roku na kolonie letnie zapisało się ok. sześciu i pół tysiąca dzieci, a wysłać zdołano jedynie dwa i pół tysiąca. Znanym propagatorem wyjazdów dzieci i młodzieży na kolonie i obozy był Janusz Korczak. Ten wspomniały pedagog pełnił również funkcję wychowawcy

kolonijnego, zwanego wówczas dozorcą kolonijnym. W latach międzywojennych do znacznego rozwoju wyjazdów dzieci przyczynił się Związek Harcerstwa Polskiego. Od tego czasu nastąpił podział na kolonie i obozy harcerskie. Po II wojnie światowej zanotowano największy rozwój wyjazdów na wypoczynek. W miejscowościach nadmorskich powstawały ośrodki wczasowe i typowo kolonijne. Wyjazdy kolonijne w czasach PRL-u to był prawdziwy folklor. Stanowiły okno na świat, uczyły samodzielności, dostarczały zabawy, pozwalały dzieciom oderwać się od szarej codzienności, a co najważniejsze, zostawiały po sobie niezatarte wspomnienia. Bo tamtych kolonii, jak podkreślają ich uczestnicy, nie sposób zapomnieć. Jako uczestniczka kolonii byłam wysyłana w tym czasie na wypoczynek, najczęściej nad morze i potwierdzam prawdziwość tych słów.

## Rzeczywistość kolonii z okresu PRL-u

**D**oskonale pamiętam, że do miejsca pobytu dojeżdżałam samochodem bagażowym, a może to był samochód ciężarowy z plandeką. Do niego wstawiano drewniane ławki, często z zadrami, robiącymi w świeżo zakupionych ubraniach dziury. Nikt nie marudził, że trzęsło, że był kurz i brud, że przez okna patrzeć nie można było, bo po prostu ich brakowało. Walizki z tektury, najczęściej w kolorze brązowym, stały z boku, a torby z kanapkami i z obowiązkowym kilogramem papierówek, wskazane było trzymać na kolanach. Z uśmiechem lub ze łzami w oczach żegnaliśmy rodziców na długie trzy tygodnie.

Pobyty kolonijne organizowano w szkole. Klasy pełniły funkcje tymczasowych sypialni. Były tam metalowe łóżka, obdarte z białej farby, ze świeżą pościelą. Ustawione były ciasno jedno obok drugiego. Pod nimi mieściła się owa tekturowa walizeczka, wypełniona po brzegi ubraniami ułożonymi w kostkę, oraz tym wszystkim, co rodzic uważał za niezbędne. W pobliżu drzwi stał wykrochmalony parawan koloru białego, a za nim azyl wychowawczyni jak w każdej szkole. Na piętrze mnóstwo ubikacji i umywalek pełniących funkcje dzisiejszych łazienek. Tu skrępowania podczas mycia nie było. Wychowawczyni tylko od czasu do czasu zaglądała i sprawdzała, czy aby na pewno nie oszczędzamy na



mydle. Nie ma się co dziwić, tym samym przeciwdziałała przykrym zapachom w wieloosobowych sypialniach. O czystość sali dbali koloniści. Zdarzało się, że dopiero po raz pierwszy spotkali się z czynnością zamiatania czy mycia podłogi. Tu mamusi nie było. Przyszedł wreszcie czas na usamodzielnienie. To był i nadal jest duży plus każdego kolonii.

Do jednych z atrakcji, należały kąpiele w rzece. Raz na tydzień, łączono je z myciem głowy. Największy problem miały dziewczynki z długimi włosami. Nic też dziwnego, że tuż przed wyjazdem, większość przyszlých kolonistek często zmieniała fryzurę na tak zwaną „chłopczycę”. Mama wytłumaczyła, że włosy szybko odrosną i bez większego sprzeciwu córki szły z mamą do fryzjera. Myjąc głowy w rzece, mogliśmy wejść do wody, jedynie na głębokość kolan. Nie było ratownika, a nad naszym bezpieczeństwem czuwały panie wychowawczynie. Nietety, jako że woda była płytka, po umyciu, okazało się, że piachu we włosach było co niemiara. Nikomu to jednak nie przeszkadzało.

W swoich walizkach mieliśmy między innymi papeterie spakowaną przez mamę, rzecz jasna, podobnie jak wszystko inne. Każde z nas miało nakazane, napisać zaraz po przyjeździe. W ówczesnych czasach kontakt odbywał się tylko drogą pocztową. Kilka nakreślonych słów musiało wystarczyć rodzicom. Na dłuższe sprawozdania brakowało czasu i ochoty.

Całodzienne przebywanie na świeżym powietrzu wzmagало apetyt. Wszyscy, wszystko dokładnie zjadali. Nie znaczy to, że posiłki były aż tak wspaniałe. Przeciwnie, znacznie różniły się od jedzenia domowego. Wyjścia do sklepu po smakołyki były sporadyczne. Kieszonkowe od rodziców było niewielkie. Jednym słowem, bazowaliśmy na tym, co panie kucharki nam zaserwowały. Do wszystkich posiłków siadaliśmy całą kolonią przy jednym długim stole, przykrytym mniej lub bardziej gustowną ceratą. Kadra najczęściej siedziała przy osobnym stoliku, stojącym nieco dalej od naszego. Wyglądał bardzo estetycznie. Zamiast ceraty nakryty był czystym obrusem. Na środku stał wazonik z kwiatkami, no i oczywiście zastawiony był talerzykami, półmiskami... Dodatkowo stał też dzbanek z herbatą lub kompotem, w zależności

od posiłku. Zamiast kubków, często obtłuczonych, mieli oni szklanki w brązowych koszyczkach. Już wówczas przyszło mi do głowy, że jak będę duża, to też zostanę panią wychowawczynią i będę siedziała przy takim suto zastawionym stoliku...

W pierwszym dniu pobytu na koloniach każdy obowiązkowo miał spotkanie z higienistką sprawdzającą czystość głowy. Z tym bywało różnie. Podejrzewam, że gorszy stan czystości naszych głów był po powrocie do domu. Niedokładnie spłukane włosy oraz piasek na głowie sprzyjały wylęganiu się i rozmnażaniu uciążliwych żyjątek.

Wychowawców zbyt mało nie absorbowali. Monotonia programu mobilizowała kolonistów do wymyślania zabaw. Miało to też swoje dobre strony. Integracja siłą rzeczy następowała bardzo szybko. Kilka lat później, doszła atrakcja popołudniowych spacerów do nielicznych miejsc, gdzie znajdowały się telefony na żetony. Na chwilę obecną trudno wyobrazić sobie, ale był to czas, w którym istniały tylko telefony stacjonarne. Jedynie uliczne automaty dawały szansę na bezpośrednie połączenie z domem. Początek takiego dnia znacznie się różnił od poprzedniego. Jedzenie było urozmaicone, wychowawcy na nikogo głosu nie podnosili, świetnie były zorganizowane zajęcia, nic do zarzucenia. Uśmiechnięci, w dobrym nastroju maszerowaliśmy, aby usłyszeć w słuchawce telefonicznej, choć przez chwilę, głos stęsknionej mamy. A dzisiaj mamy telefon w kieszeni każdego kolonisty, nieograniczony kontakt z opiekunami i mnóstwo skarg na wszystko. Dni pełne zabaw, atrakcji, czyli takie, jakie są obecnie na koloniach, ja miałam tylko w dniu owej wyprawy do telefonu. Uśmiechnięta pani wychowawczyni stojąca obok telefonu podczas naszej rozmowy, pilnie słuchała skrótowych opowieści, a równocześnie zapewniała rodziców o swojej opiekuńczości. Kablek od słuchawki był wyjątkowo krótki, nie pozwolił na oddalenie się od aparatu telefonicznego. Nie jednemu z tęsknoty za mamą łezka w oku się pojawiła. Widząc łzy, bystra pani wychowawczyni zawsze prosiła o zakończenie rozmowy, ze względu na długą kolejkę oczekujących kolonistów. W następnych dniach pobytu wszystkie atrakcje

kolonijne były takie same jak co dzień aż do następnej wyprawy. I tak miały trzy długie tygodnie.

Na grupowy wypoczynek dla dzieci, przeznaczano zazwyczaj stare ośrodki wczasowe. Na pierwszy rzut oka robiły dobre wrażenie, zwłaszcza domki wolnostojące. Wystarczyło zabezpieczyć wylatujące, pęknięte szyby, oczyścić pajęczyny w rogach pomieszczeń, wygonić miotłą wszelkie robale chodzące po podłodze i domek był już gotowy do użytku. Unoszący się w powietrzu zapach stęchlizny to żaden problem. Ładna pogoda, otwarte okna i wszystko da się wysuszyć. Przyjechaliśmy płuca napęlniać świeżym powietrzem, bezpiecznie się kąpać w morzu i bawić się z innymi dziećmi ile dusza zapagnie, a nie siedzieć w domkach, na łóżkach z wygniecionymi materacami. Wszystko ma dobre strony. Po powrocie do domu każde z nas bardziej doceniało to, co ma.

Dla rozróżnienia poszczególnych grup, przez cały dzień, nosiliśmy zawiązane na szyi trójkątne chusty. Jedna grupa miała żółte, inna zielone, jeszcze inna czerwone. Utrzymywanie porządku w pokojkach należała, rzecz jasna, do obowiązku użytkowników. Każdego dnia specjalna komisja powoływana z innych dzieci, zaraz po śniadaniu robiła przegląd czystości w pomieszczeniach. Wszyscy wychodzili z pokoi i czekali z niecierpliwością czy będzie na łóżku „pilot”, czy tym razem nie będzie. Wystarczyło nienaciągnięte równiutko prześcieradło, bądź też wyrzuszona kołdra, aby komisja wszystko na łóżku powywracała „do góry nogami”. Przyznaję, że zaliczyłam kilkakrotnie taką wpadkę, aż wreszcie nauczyłam się, ścielić łóżko jak należy. Będąc w komisji, zawsze starałam się coś dopatrzeć, by nie zostawić „pilota”. Skoro ja nauczyłam się wzorowo ścielić łóżko, uważałam, że moje koleżanki i koledzy, też byli w stanie to zrobić.

Lata miały, a wraz z nimi, warunki na koloniach ulegały poprawie. Dojeżdżałam już autokarem, oczywiście bez toalet i klimatyzacji. Za tą ostatnią służyły otwarte okna. Zmieniło się wyposażenie sali, w których spaliśmy. Łóżek było mniej, a wzdłuż jednej ściany stały różnorodne meble, niezbędne w ciągu roku szkolnego. Swoim wyglądem przypominały segment pełen szafek, szuflad, półek. Zamiast tekturowej walizki

z ubraniami pod łóżkiem, najczęściej leżały plecaki ze stelażem i miały swoje wyznaczone miejsce. Odzież układaliśmy na półkach w segmencie. Nie było już wykrochmalonego białego parawanu, zastąpił go pokój nauczycielski, w którym spały panie wychowawczynie. Kierownik kolonii miał oddzielny, oczywiście najładniejszy pokój. Chęć bycia w przyszłości panią wychowawczynią dojrzewała z roku na rok. Obserwowałam bacznie pracę całej kadry, przyznaję, nie była łatwa. O funkcji kierownika, nawet nie marzyłam.

Korzystając z nieobecności opiekunki w sali w czasie ciszy nocnej, po cichutku, aby czujne uszy wychowawczyń nie słyszały, rozprawiano się z kolonistami, którzy odstawali od grupy lub skłócali jednych z drugimi. Kiedy taki delikwent leżał już w łóżku, wcześniej wyznaczone osoby podchodziły do niego, kocem mocno przykrywały mu głowę, aby zbyt nie hałasował, a reszta spuszczała mu lanie. Ci bardziej pomyślowi zwijali mokry ręcznik w rulon i okładali go nim. Delikwent doskonale wiedział, za co ma kocowę, dlatego nawet nie pomyślał o skardze do pani. Obecnie, wspominając tego typu akcje, stanowczo ich nie popieram. W inny sposób można było załatwić takie historie.

Nieobecność wychowawców w pomieszczeniu znacznie ułatwiała urządzanie tak zwanej zielonej nocy. Była to, podobnie do dzisiejszych czasów, ostatnia noc na koloniach. Różne mieliśmy pomysły. Śpiących malowaliśmy pastą do zębów, zamienialiśmy częściowo już spakowane plecaki między pokojami, przywiązywaliśmy do łóżka śpiącą osobę lub związywaliśmy sznurówkami buty różnych par. Nie byłam zwolenniczką tego zwyczaju, ponieważ następnego dnia, zamiast szybko się dopakowywać, to w pośpiechu trzeba było szukać pochowanych rzeczy, rozwiązywać buty czy myć się z pasty. Niepisane prawa kolonijne były jednak górną. Dlatego wołałam czynnie uczestniczyć w zielonej nocy, wówczas moje rzeczy były na miejscu. Ci, którzy spali snem twardym, rano najwięcej mieli pracy.

Kolonie, na które jeździłam, nauczyły mnie przede wszystkim samodzielności od najmłodszych lat – liczenia na siebie i tylko na siebie. Tu w obronie nikt nie stanął, nie było skarg, interwencji. Tu była szkoła

życia. Nauczyły mnie również życia wśród dzieci z różnymi charakterami, dostosowania się do różnorodnych sytuacji... Mimo wszystko pozostawiły po sobie miłe wspomnienia. Pierwsze sympatie okazywane w sposób bardzo subtelny, przyjaźnie, czasami trwające kilka lat, po raz pierwszy zobaczyłam morze, góry. Nauczyłam się wielu nowych gier, zabaw, które dzisiaj są już mało znane.

Musiało minąć wiele lat, aby kolonie uległy pełnemu przeobrażeniu. Dojazdy autokarami klimatyzowanymi z toaletą, na miejscu czekają pokoje kilkusobowe z łazienkami wyposażone w niezbędne meble. Program wypoczynku jest do wglądu. Jadłospis układany przez dietetyka i teraz to wychowawcy dwoją się i troją, aby zrealizować często zbyt przeładowany program. A do tego wszystkiego zrealizowałam swoje marzenie.

Zostałam wychowawczynią i wyjątkowo szybko otrzymałam funkcję, o której kiedyś nawet nie marzyłam. Mowa tu o funkcji kierownika wypoczynku.

W następnych rozdziałach postaram się przywrócić wspomnienia jako wychowawca i kierownik wypoczynku.